

ZARANIE ŚLĄSKIE



KWARTALNIK LITERACKI
ROK PIERWSZY ZESZYT CZWARTY

WZÓR NA OKŁADCE WZIĘTY Z MALOWANEJ SKRZYNI ZE ŚREDNIEJ SUCHEJ NA ŚLĄSKU. ==
PROJEKTOWAŁ I CIAŁ W LINOLEUM BERNARD KOTULA. ==

S P I S

współpracowników Zarania. (Rok I. zeszyt 4.)

	<i>Stronica :</i>		<i>Stronica :</i>
1) Arjos	178	1) Londzin	187
2) Fischer	182	2) Ludkowicz	184
3) Francus	186	3) Obuszek	188
4) Greger	179	4) Pustówka	186, 188
5) Kotula	183	5) Rozwadowski	178
6) Lebedzik	161	6) Sznurowacki	180, 191
		7) Z. Rudolf	179

W Austrii abonament roczny 4 K, półroczny 2 K 40 h, cena pojedynczego zeszytu w księgarniach 1 K 20 h, w Administracji 1 K. Po za Austryą przyjmuje się tylko abonament roczny.

===== W Niemczech 4'25 K, do wszystkich innych państw 4'60 K. =====

(Administracja „Zarania Śląskiego”: Cieszyń, Dworkowa 2. Śl. Austr.)

Przedruk tylko w celu zacytowania wyjątków dozwolony.

Sztuki i monologi drukowane w „Zaraniu” odgrywać wolno tylko na podstawie umowy z wydawnictwem, które według stosunków materialnych sceny żąda pewnego procentu z dochodu brutto na Bursę polską A. Mickiewicza w Cieszyń, o ile autorowie nie zastrzegą sobie nadto innych praw.

===== CZWARTY ZESZYT WYSZEDŁ Z DRUKU 1. VII. 1908. =====

Druk okładki i zeszytu wykonano w drukarni „T. D. N.” P. Mitregi w Cieszyń.

ZARANIE ŚLĄSKIE

ZESZYT 4.

CZERWIEC, 1908.

ROK I.

BRZASKI ODRODZENIA.

Dramat w 3. aktach

przez

JÓZEFA LEBIEDZIKA.

AKT I.

Stromy, skalisty brzeg, pokryty lasem, na dole płynie z głośnym szumem Olza, po prawej stronie wiedzie droga od Cieszyna, tuż obok drogi wznosi się na wzgórzu uroczy Koński Las, w dali z poza pagórka wychylają się szczyty wleń i dachy miasta Cieszyna.

Scena 1.

Paweł Stalmach (młodzieniec 20-letni, przechadza się w zamyśleniu).

Ach, jako miło oddychać tą wonią
Balsamiczną, świeżą naszych śląskich drzew,
Tu roje ptasząt przed żarem się chronią
I w cieniu nucą uroczy, swojski śpiew.
Tam Olza z szumem toczy wód swych fale...
Jak cudnie łamie się promień w kryształ
Słoneczny w toni przeźroczej oblicza!
W nocy, gdy błysnie blask srebrny księżyca,
Rozbrzmiewa tęsknie piosenka słowicza, —
Ach, barwną tęczą lśnią chłodne jej lica!
Tu brzask różowy purpurą się mieni,
Przyroda śląska bujna, wiecznie młoda
Ponętą wstęgą życia się zieleni;
Tu mię otacza błogość i swoboda.
Gdzie okiem sięgnę: uroczą krainą,
Złożoną w zboża i kłosa srebrzyste;
Tam w dali piętrzy się górska wyżyna
I czoło wznosi ku niebu przeczyste.
Ach, jak ja kocham te niwy bogate,
Te wzgórza leśne i te górskie szczyty
W zieleni krasną przystrojone szatę,
I lazurowe nieb śląskich błękity!
Ach, jaką dumą moje piersi rosną,
Jak miło zwiedzać te zaciszne strony!
Tu pieśń ożywczą nucę i radosną,
Tu mi się budzą w duszy słodkie tony,
Tu choć na chwilę pokrzepić się mogę,
Nabrać otuchy z zapomnienia toni
I sił zaczerpnąć w dalszą życia drogę
I w pierś zbolełą wchłonać leśnej woni.

O gdyż do pracy świeżych sił potrzeba,
Do pracy szczytnej, pracy narodowej;
Oby wytrwania udzieliły nieba
I myśli twórczej do czynu gotowej.
Uciskiem wroga, szyderstwem owiany
Ja wiecznie polską zachowam mą duszę,
Niemczyzny falą krwiożerczą ścigany
Od chwil zarania ponoszę katusze.
Szyderstwa, śmiechy piersi mi nie złamię,
Ni wydrą czucia, duszy nie omamią.
Jam miłość ziemi i mowy ojczystej,
Uczucie polskie wyssał z matki łona;
Tych iskier myśli płomiennej, ognistej
Nie zgasi Niemiec, tu złość, przemoc kona!

Scena 2.

Wchodzi młoda dziewczyna, pasterka, w stroju walskim, codziennym; zbliża się, nie zauważywszy przybysza, do miejsca, gdzie Stalmach się przeschadza.

*) Kiedy jasne słońce wyszło,
Czarne wołki dziewczę pasło
W olszynie, nie-nie-nie w olszynie.
(Wtem spogląda, widzi obcego, urywa rumieniąc się.)

Stalmach.

Nie bój się, wiejska dziewucho!
Śpiewej se pieśniczke swoją,
Dyć ja ją też słyszeć mogę,
Pokił pójdę dali, w drogę.

Dziewczyna.

Tak tu pusto było, głucho,
Tak cichutko drzewa stoją,
Że mi teschno się zrobiło;
Tóżech se pieśniczke miłą
Zaśpiewała na ucieche.

Stalmach.

Śpiewej dali, bo pocieche
Piosenki nom dają wielką
I teschnice i zgryzotę
Odganiają od nas wszelką.

Dziewczyna.

Jo tak częsci na ochotę
Zaśpiewać pieśniczke rada,
Gdy mych krów, owiec gródada
Dobrze pasie się na płoni.

Stalmach.

Słyszę, jak tam krowa zwoni,
Zgibając się dookoła
I szkubając smaczne ziola;
Aż się miło na nią dziwać!
Ale milej się wschłtychiwać
W twoją piękną, słodką nutę.

Dziewczyna.

Ale pokił wyście tutaj,
Ani rusz nie bedem śpiewać,
Bo się wstydzym.

Stalmach.

Mom się gniewać
Na twój upór i złą wolę?

Dziewczyna.

Mój panoczku, jak tam chcecie,
Ale późni śpiewać wolę.

Stalmach.

Niech tak bydzie, moje dziecię!
Ale powiedz mi ty przecie,
Co to była za pieśniczka?

Dziewczyna.

Co też tam tako pieśniczka!
Wybyście się śni wyśmioli,
Bo wy z miasta, a nie z roli.

*) Pieśń 140. ze zbioru Andrzeja Cieńcały.

Stalmach.

W jakiej mowie?

Czy po polsku?

Dziewczyna.

Jak przodkowie

Po naszymu se mówili,

Tą nom mowe zastawili —

Mnie po polsku moja matka

Nauczyła, do ostatka

Tak też jeny mówić bydem,

Aż do śmierci.

Stalmach.

Hańbą, wstydem,

Gdo sie swoi zaprze mowy

I zwyczaj wzgardzi domowy.

Pokiel te gory gorami,

My zustaniem Polakami!

Dziewczyna.

Czy jo Polką, sama nie wiem,

Chocież mi sie to tak zdowo;

Bo kaj sie tu prowdy dowiem?

Każdy Polokom nadowo,

Z nich, jak może, sie wyśmiewo

I niemiecką dusze wdziewo

Rod, że szwobską mowe umi...

Stalmach.

Jesi kiel słów rozumi,

To se myśli, że mądrzejszy,

Że już nic nad niego nima,

Że ze wszystkich najgodniejszy;

A jak sie pychą nadyma!

Dziewczyna.

Też i nauczyciel w szkole

Jeny tych Niemców wychwołał;

A choć som pochodził z role,

Ze wsi, bo był chłopskim synem,

Po niemiecku mówić wołał

I swoich sie ojców wstydził.

Stalmach.

Wielką ściągnął na sie winę,

Ten, co z mowy swoi szydził,

Swój obyczaj se obrzydził,

Co mu go dali ojcowie.

Hańba judaszowej głowie,

Pokiel tu na ziemi żyje;

A po śmierci Bóg ukorze

Taką jadowitą żmije!

Dziewczyna.

A moc też je takich w gminie:

Wójt i radni, gospodarze,

Co w każdej prawią godzinie,

Że Niemiec wždy więcej znaczy

I hnet sie czemś wyższem stanie.

Stalmach.

Glupie to jest bardzo zdanie;

Niech też żoden w to nie wierzy

I na takom bojke baczy.

Bo gdy taką miarą mierzy

Ludzką wartość i znaczenie,

Ten jest podły i bluźnierca,

Ten zaprzędoł swe sumienie,

Nimo dusze ani serca.

Dziewczyna.

Jo se też zaroz myślała,

Że to nie tak wielko chwała,

Jak gdo po niemiecku umi

I za Niemca sie uwożo.

Przeca każdy to zrozumie,

Że nad światem ręka bożo

Rządzi wiecznie sprawiedliwo,

O wszystkie staro sie rzeczy...

Stalmach.

Bóg narody mo w swej pieczy;

Każdo mowa ludzi żywo

Mo u niego równe prawa;

Ale zbrodnią niegodziwą

I bezprawiem sie to stawa,

Jesi drugim sie wydziera

Mowe i zwyczaj rodzinny,

Jesi Niemiec lud wypiera

Ze swej ziemie — lud niewinny;

Ale przemoc Niemców marna!

Pokiel Olza szumi, płynie,

Zboże rodzi ziemia czarna,

To lud śląski nie zaginie!

Dziewczyna.

Jak to pięknie, jak prawdziwie,

Jak proroczostwie to rzekli,

Pokiel miłość w duszy żywie

Do rodzinnej, polskiej mowy,

My sie Niemcom obronimy;

A choćby sie z złości wściekli,

My sie gniewu nie boimy.

Niech gotują napad nowy.

O i jo sie Polką czuję,
Polską mowę czczę, szanuję;
Pokił tego serca bicie,
Polką będę całe życie!
(Odchodzi.)

Stalmach.

A to dzielna jest dziewczyna,
Świeża jak krasna malina.
Ludzie śląski, lśni nadzieja,
Choć niemczyzny grzmi zawieja!

Scena 3.

Stalmach, Branny (rolnik 40-letni, idzie koło lasu i spogląda na ciągnące się w dół łąny bujnego srebrnego świeżymi kłosami żyta.)

Branny (do siebie.)

Hojne bydzie latoś żniwo,
Wspaniało wszędzi uroda;
A jak tu słonko dogrzewo!
Tako piękno dziś pogoda,
Że sie dusza w człeku śmieje,
Gdy to żyto tak jaśnieje.

(Przystaje, schyla się do ziemi, wyrzuca ze żyta kilka kamieni.)

A to ci natrętne skoli,
Wszędzi tego pełno leży;
Nie lza z nich oczyścić roli.
Dziesięć weźniesz, sto wybieży
Na wierzch skądś z głębie ziemi.
Mniej biedy z tymi drobnymi,
Ale wielkie zboże duszą,
Jako słońce letnią suszą.

(Przechodząc koło Stalmacha, kłania mu się, zdejmując kapelusz.)

Dzień dobry, panoczku młody!

Stalmach.

Dzień dobry, womi gospodarzu!

Branny.

Prowda, że to piękne pola
I te łąki, swojskie drzewa
I słonko, co je ogrzewa,
I wiaterek, co po zbożu
Chodzi i gnie srebrne kłosa,
I tych ptośzków śpiewne głosy.

Stalmach.

Przekrasny widok przyrody
Naszej śląskiej bardzo lubię;
Tu się ściele żytno rola,
Tam doliny i pagórki,
Moc ich wielka, aż wzrok gubię
Hen w oddali. Ani chmurki
Lotny cień nieba nie kryje.
Tam się mały strumyk wiję,

Szemrze cicho, pluska, mruży;
A tu fala Olzy huczy
Z gór Beskidów wody toczy,
Raz wolniej, raz chyżej kroczy.

Branny.

A powietrze jakie zdrowe
U nas na wsi: czerstwe, świeże!
Siły wzmocni o połowę.
Nie tak, jak w mieście, gdzie wieże,
Domy, ludzie tak się zbili
Do gromady jak na łące
Te białe kwiatki kwitnące
Abo zboże, co się chyli
Gęste, kłosami się styko, —
Tak dom do domu przytyko
Wszędzi w mieście.

Stalmach.

Tak być musi,
To się zmienić już ni może;
Ale gorzej, że nas dusi,
Twarde nakłada obroże
Zło od wieków zagnieżdżone.
Z niem my walkę musimi toczyć,
Znaleźć od niego obronę
I powoli naprzód kroczyć.
Gorzej, że w mieście Cieszyńie
Niemczyzna zaborcza stynie,
Po miastach się śląskich szerzy
I groźny żąb do nas szerzy.

Branny.

Jo czuję, że źle się dzieje,
Że nas Niemiec krzywdzi, nęka;
Ale w Bogu mom nadzieje,
Że go skorze bożo ręka.
My za słabi, nieuczni
Cierpieć musimi, choć nas boli,
My z tym losem oswojeni
Od wieków trwamy w niewoli.

Ale kiesi też nastanie
Dło nas boskie zmiłowanie.

Stalmach.

Sama wiara nas nie zbawi,
Czynów również nam potrzeba.
Dopiero wtedy się zjawi
Pomocna dłoń dla nas z nieba.
Czem narody rosna, słyna?
Pracą własną! A czym gina?
Gnuśnością ciała i ducha!
Kto tej prawdy nie posłucha,
Pracy czynnej się wyrzeka,
Krzywdy znosi, nie odiera, —
Marnie łaski z nieba czeka,
Sam sobie życie odbiera!

Branny.

My Niemców dawno cierpimy
I ulegać im musimy.
Oni wszędy, czy to w rządzie,
Czy we szkole, czy też w sądzie,
Wszędy są urzędnikami
I mają władzę nad nami.
W mieście oni sklepy mają,
Towar od nich kupujemy,
Oni się z nas zbogacają,
My starą biedę klepiemy.

Stalmach.

Tak, to ciężki dla nas smutek,
Być sługami w własnej ziemi.
Ale czego to jest skutek?
Żeśmy nadto cierpliwymi:
Pokój, choć przykry, wolimy,
Zrzekamy się duchem pracy,
Cicho ucisk ich znosimy;
Oni pany, my żebracy,
Oni rządzą nadasani,
Słuchamy kornie, poddani,
Oni język, swoją wolę
Narzucają nam bezprawnie,
My tłumimy własne bole,
Wystąpić się boim jawnie.
I to trwa już długie wieki;
Ale dalej trwać nie może.
Otwórzmy senne powieki,
Skruszmy pęta i obroże!

Branny.

My nie możemy się sprzeciwić,
Bo my żadnych praw nie mamy;
To też nie trzeba się dziwić,
Że Niemców kornie słuchamy.
Niech się gdo oprzeć spróbuje,
Zaroz mu nałożą kary;
Twarde nad sobą uczuje
Więzienie i gniew bez miary.

Stalmach.

Jednego toby zamknęli
I za opór go gnębili;
Ale bez ofiar nic niema,
Ofiary być zawsze muszą.
Chcemy siłami obiera
I ciałem i własną duszą
Oddać się za naszą sprawę,
A ofiary przemoc skruszą.
My się więzienia nie bójmy,
Idźmy tam jak na zabawę,
Jeśli tego będzie trzeba;
Przy swej woli mocno stójmy,
Wtedy znajdźcie pomoc z nieba.

Branny.

Ale jak się wziąć do rzeczy,
By walczyć o swoje prawa?
Niemiec łże, prowdę zaprzeczy,
Na nic spłynie nom łza krwawa.
My ledwo czytać umiemy,
Ich mowy nie rozumiemy,
Mało się na wszystkim znamy,
Uczonych ludzi nie mamy,
Coby poszli razem z nami,
Bronili nas przed Niemcami.

Stalmach.

Trzeba, żebyście włościanie
Po wsiach strzegli polskiej mowy,
Nadewszystko ją cenili,
Żebyście się nie zniemczyli.

Branny.

Myślę, że to się nie stanie.

Stalmach.

Żebyście ten zwyczaj nowy:
Chwalić ich mowę, rzucili,
Wyższość ich sławić przestali;
Żebyście się odrodzili
I godność własną poznali.

Branny.

Tak, to prawda, wiele takich
Zdrajców, ludzi ladajakich
Znajduje się między nami,
Kierzy chcą zostać panami.
Mowy swej się wypierają,
Niemców wyższość wychwalają,
Uczyć się ich mowy kożą,
A swojej se nic nie wożą.

Stalmach.

Trzeba, żebyście uczucie
Polskie w duszy swej zbudzili,
W pieśni waszych swojskiej nucie
Śmiało, szczerze je głosili;
Otwarcie się przyznawali
Do polskości, odczuwali
Miłość do swej śląskiej ziemi,
Która w waszych duszach drzemie.

Branny.

Drzemie, bo w długiej niewoli
Duch zbolały ją przygłuszył
Jako chwast zboże na roli,
Ale całej nie wysuszył.

Stalmach.

Trzeba pozbyć się gnuśności,
Wyrzec się własnej wygody
I tej ducha ospałości
I gorzkiej z Niemcami zgody.
Trzeba, by się połączyli
Wszyscy razem, jednej byli
Myśli, ducha, jednej chęci,
Jednem pragnieniem przejęci,
A potem działać zaczęli,
Toby swoje osiągnęli.

Branny.

Tak, rozumiem, wielu ludzi
Zgodnych wszystko zrobić może;
To we mnie nadzieję budzi,
Że i Niemcom domy rady,
Gdy się złączym do gromady,
Wygonim ich, co deś Boże!

Stalmach.

W jedności jest wielka siła,
Jedność potężne ma ramię,
Jedność ludy wyzwoliła,
Więc i teraz przemoc złamie!
Potem na nic i więzienia,
Groźby i ucisk i kary.
Znijdzie chwila odrodzenia
Dla tej biednej śląskiej ziemi;
Porządek zwali się stary,
A lud śląski dłońmi swemi,
Swoim duchem odrodzonym
Zmusi Niemców do ustępstwa.
Praca ducha błysnie płonem
I powiedzie do zwycięstwa!

Branny.

Ale ta chwila daleko,
Jo sie ji bodej doczekom;
Praca przed nami je długa.
My chłopie ze wsi, od pługa
Działać będziemy jak umimy,
My sie powoli zmienimy.

Stalmach.

My młodszy, co się kształcimy,
Zawsze przyjdziemy z pomocą,
Lud nasz śląski oświecimy
I walczyć będziemy z przemocą.

Branny.

Momy dobre, dzielne dzieci,
Z nich nadzieja nam zaświeci;
One się wyuczą w szkole
I polepszą naszą dole.
Ale mnie do domu czas,
Hań sie bardzo niebo mroczy.

Stalmach.

Piękny, uroczy dziś dzień,
To przejdzie.

Branny.

Drzewo rzuca długi cień,
Słońce schodzi już za las.
Zostańcie z Bogiem!

Stalmach (podaje mu dłoń i ściska.)

Z Panem Bogiem,

Gospodarzu!

(Branny odchodzi, Stalmach spogląda za nim
chwilę, potem zwraca się w przeciwną stronę
i zaczyna się znowu przechadzać.)

Scena 4.

Stalmach (sam, spoglądając w stronę zachodzącego słońca.)

Już słońce krwawą łuną światła płonie
I smętną chyli swą głowę upalną,
W gasnących zwolna morzu blasków tonie
I kres przynosi zorzą tryumfalną
Krażeniu swemu na nieb barwnem łonie;
Pieśń ziemi nuci rzewną, pożegnalną.

I znowu jeden dzień pracy upływa,
Stacza się cicho we wieczności fale;
I znowu świeży ból duszę okrywa
I stygmat męki rzeźbi na jej skale.
Ach, bezpowrotnie zniknęła pieśń żywa,
A w sercu krzewią się skargi i żale.

Już złote lice słońko chmurzy mrokiem
I pierś znużoną w mglistej dali kryje,
A skrzaczem jasno-brylantowem okiem
Już tylko mdłą i drżącą wstęgę wije
Z promieni smętnych tkaną, słabym wzrokiem
Spojrzenie rzuci... we mgły lica skryje.

Tak lud nasz śląski na ojców swych roli
Dzień po dniu trawi w ciężkiej ducha męce,
I lubo serce krzywda, ucisk boli,
To jednak twarde swe opuszcza ręce;
Dzień znowu jeden mija mu w niewoli
I gaśnie smętnie w beznadziejnej męce.

Jak mrok ciemności krainy owionie
I ciszy tkanę rozsnuje nad ziemię
I w śnie utuli faliste jej skronie, —
Tak już od wieków nasze śląskie plemię
W beczynnej ducha martwej pleśni tonie
I we łzach bólu i niewoli drzemie.

Ach, kiedyż jasne zabłysną promyki
Nadziei, szczęścia wśród śląskiego ludu?
Ach, kiedyż buchną serc polskich płomyki
Rozżarzą czucie do potęgi cudu?
Ach, kiedyż trysną miłości strumyki,
Ojczystą niwę zroszą płonem trudu?

O Boże, spojrzij łaskawem swem okiem
Na śląskie sioła, na ich czarną dołę,
Na serca żalem przejęte głębokim,
Na długowieczną, pełną krzywd niewolę,
Bezradność ludu spętana łąz mrokiem;
Lud ze snu, Boże, zbudź, silną daj wolę!

Ach, czuję ulgę w mej piersi zbolalej,
I już przeminął ból skargi, rozpaczy;
A w mojej duszy moc broni wytrwałej
Do boju wzywa mój żywot tułaczy.
Ach, widzę świty wolności nastałej
I lud rwie pęta, tryumf pieśnią znaczy.

O teraz czuję we mnie nowe siły,
Gdym spojrzał w serce, poznał ludu chęci;
Potęgą duszy lud wyrwie z mogiły
I miłość wskreszę w sennej ich pamięci
Do mowy polskiej i łączność z narodem
Zadzierzną polskim zmurszałą przez wieki
I walczyć pragnę o ludu swobodę
I śniące ludu chcę przetrzeć powieki.
To mojej duszy najgłębsze pragnienie,
Jam je kołysał w tęcz barwnym kryształ;e;
To jest młodości uroczę marzenie
Niezagłuszone w niemieckich burz fale.
Oby w tym roku szkolnej, ciężkiej próby
Ochoczo w pracy płynęły mi chwile,
Bym niezaślugo z celów mych rachuby,
Z mych marzeń wiotkich jak skrzydła motyle
Podolał wysnuć przedzę płodnych czynów
I natchnąć grono dzielnych pracowników
Do walki z wrogiem naszych śląskich synów
I zbudzić zastęp mężnych bojowników,
By mojej duszy wymarzone cele,
Poparte siłą, głosem mego Boga,
Nie poszły w niwecz, by wstali mściciele,
I lud wyrwali z więzów Niemca, wroga!
O jak działania ja pragnę gorąco,
Jak rwę się duszą za zórz widnokreśl,
Jab bronią ducha zagrzmiałbym gromiaco
I skruszył Niemców krzywdzące potęgi!
Otóż tę walkę już trzeba wytoczyć,
Zaprawić wolę za młodu na znój;
Nie dobrze pracy na przyszłość odroczyć,
Już teraz trzeba myśli skrzesać rój
I plany tworzyć w przyjaciół mych gronie
I czynu zaród wprawić w życia ruch
I młode zagrzać do boju ich skronie,

By jedność myśli, uczuć zbudził duch!...
Ach, gdzież przepadli moi towarzysze,
Czyż jeszcze w leśnej błakają się kniei?
Ha, jakiś szelest, trzask gałęzi słyszę,
Pewnie ktoś idzie, iskierka nadziei.
Ach, trzeba w ścisłą się złączyć gromadę,
Nad szkolną dolą wszcząć wspólną naradę.

Scena 5.

(Za sceną, z głębi lasu odzywają się okrzyki, udawania głosów różnych ptaków leśnych, a coraz wyraźniejszy szelest wstrząsanych liści i trzask deptanych suchych gałęzi oznajmłają nadejście kilku ludzi.)

Stalmach (przysłuchuje się lepiej.)

Ha, cóż się dzieje? W lesie dziwne krzyki.
Czy ptaków nocnych ożyła natura
I głucho, smętnie huknęły puszczyki?

(Wtem rozchylają się gęste zarośla, z nich wychodzą studenci *Świeży i Wabik*, fantastycznie przystrojeni zielonemi gałązkami drzew i krzaków, z choinkami jodłowemi za kapeluszem, z wstęgami błuszczu, owiniętymi przez piersi, i z pękiem błękitnych trojanek w dziurkach surduta.)

Wabik i Świeży (z okrzykiem.)

Hej, za mną, ura!
Sokolim lotem do wodza i druha,
Niech wieści naszych i wypraw wysłucha!

Stalmach (zdziwiony.)

Cóż wam znów w głowie, swawolne łotrzyki,
Jaki znów pomysł młodzieńczej zabawy!
Czy wam się zdaje, że wyście zbójniki?

Wabik.

Posłuchaj wodzu, Ondraszku nasz miły,
Oto wracamy z myśliwskiej wyprawy
I łupów niesiem bez miary i siły.
Przyjmij te plony obfitej obławy!

(Rzucają mu do stóp pęki ziół, gałązki paproci, przeróżne grzyby leśne, wiewiórkę upolowaną i postrzelonego zająca.)

Stalmach (z uśmiechem.)

Ech, cóż za figle, ironiczne żarty,
Idźcież do licha głupie, gończe charty!

Wabik (z miną dumną i poważną.)

Posłuchaj, wodzu, szczęsnych wypraw wieści,
Jakie odbyli twoje druhy wierne.
Niech tryumf świeży twoje ucho pieści,
A serce cieszy, bo łupy niezmierne.

Stalmach (udając Ondraszka.)

Więc słucham, mówcie, ale śmierć wam, biada,
Jeśli skrzywdzenia wina na was spada.

Wabik.

Otóż gdy, w leśnej czatując kryjówce,
Widzim, jak krasna przechodzi dryada...
Ech, co ja mówię, to była rusalka —
I cudnym wzrokiem patrzy naokoło,
Wymija zręcznie kłujące jałowce
I jak wiewiórka w ziół gąszczu przepada
I tańczy zgrabnie, nucąc jak piszczałka
I bluszczem wieńczy białe, lśniące czoło —
My patrząc zrazu z dziwu osłupieli,
Choć drżało serce, w kryjówce siedzieli.
Lecz kiedy znikła w bujnej drzew zieleni,
My z tem zjawiskiem nieco oswojeni
Poczęlim ścigać precudowne dziwo
I pędzić w gąszczu na oślep, co żywo.
Nareszcie powab jej smukłej postawy
Wygląda jasno z poza leśnych cieni,
Już myślím, żeśmy u kresu wyprawy,
Że nimfę łatwo napędzim do sieci,
Że nam nie umknie leśnych dryad ksieni
I jako ptaszek skrzydłem nie uleci —
Aż tu rusalka szelestem strwożona
Pomknęła strzałą wypuszczoną z łuku,
Zniknęła nagle jak myśl rozmarzona;
A szmer mknął dziwny wśród okrzyków huku.

Stalmach (z uśmiechem.)

No, chłopcy, toście się dzielnie spisali,
Stosowną za to weźmiecie nagrodę.

Wabik.

Jak cudną miała rusalka urodę!
Nie żal ci, żeśmy napróżno ścigali?

Stalmach.

Oj, wyście żwawi jak orły w pogoni,
Za to też widzę bluszcz na waszej skroni.

Świeży.

Czyż nam się słusznie tryumf nie należy
Za tylu skarbów przyniesione kupy,
Za tak obfite i bogate łupy,
Za chwałę nową laur boski i świeży?

Wabik.

Lecz słuchaj, wodzu, końca tej powieści.
Otóż, gdy pełni zawodu, boleści
Stalim na chwilę, wokół pogładali,
Jakby rusałkę na powietrznej fali
Mieliśmy ujrzeć... Ot skacze wiewiórka,
Na drzew wierzchołku błysnie i da nurka.
Więc miasto nimfy myśmy ją złapali.
A potem w mężnej zagrzani ochocie
Rwaliśmy zioła i bujne paprocie
I bluszczu, kwiecica znaleźlim bez miary,
Do stóp rzucili tryumfu sztandary.
Po tylu świetnie dokonanych czynach
Ponownie w lasu skrylim się głębinach,
By spotkać żyda, do szczętu ograbić,
Który tamtędy miał właśnie przechodzić,
Wziąć mu dukaty a samego zabić,
By dłużej nie mógł ludzi za nos wodzić.
Ach, jak nadzieja ta była łudzająca!
Miasto żydziaka, złapalim zająca.

Stalmach.

Oi, to się wybrali: Wabik i Świeży,
Wrócili z niczem, w podartej odzieży.

Wabik.

A cóż do licha, mało ci zdobyczy,
Pereł i skarbów, których nie policzy
Twe oko bystre za jednym spojrzeniem.

Stalmach.

Ale mi dziwno, żeś nic nie przywabił,
Wiewiórkę tylko, ach, życia pozbawił.
Okryty śmiechem, dryady wzgardzeniem
Stanałeś śmiało przed moim obliczem;
Ha, jaki tryumf, precz, jesteś mi niczem!
(Porzuca farsę, mówi poważnie, ze smutkiem na twarzy.)
Lecz dosyć żartów, niewinnej swawoli.
Zwróćmy nasz umysł w wyższych sfer krainy,
Odczućmy sercem wszystko, co nas boli,
I wolę wspólną chciejmy zmienić w czyny.

Wabik

Poco się smucić, ech, i poco płakać,
Lepiej jest śmiać się, żartować i skakać.

Świeży.

Ale nam ciągle bawić się nie godzi,
Myśleć poważnie powinni też młodzi.

Stalmach.

Już wiek przeminał, gdy śmiechy urocze
Nam w ustach drżały i żarty swobodne
Krag myśli tęsknych ozlacały w blaski,
Ach, burza szumem nad Śląskiem łopocze
I mrok zasłonił nam niebo pogodne,
A żywioł wrogi zasnuł zorzy brzaski.

Wabik.

Ha, jaka zmiana, Paweł nuci pienia
I duszą tkliwą wzbudza we mnie dreszcze.
Patrz, jak mu w oku lśni promień natchnienia,
Lecz usta miota wyrazy złowieszcze.

Świeży.

Ach, czyż nie czujesz, że mu toczy serce
Boleść nad ludem okutym w kajdany,
Cierpi, że śląski lud jest w poniewierce,
Że Niemiec krwawe zadaje wciąż rany.

Stalmach.

Tak, bracia, smutek przepelnia mi duszę,
I gorzkie w sercu zrywają się bole,
Że lud nasz śląski ponosi katusze
I długą cierpi ucisku niewolę.
Lecz stąd największe mam w duszy cierpienie,
Że lud ten cały spowity jak w grobie
W niemocy pętach, ach, chowa milczenie
I miasto w szczęściu pogrążon w żalobie.

Wabik.

Niestety, prawda, lecz to już trwa wieki,
I ta niedola stała się weselem
Dla wielu podłych wyszłych z ludu łona;
A wielu senne zamknęło powieki
Na ucisk wroga i żyło się z losem.
Więc któż na Śląsku ma stać się mścicielem,
Lub w kim spoczywa dla ludu obrona?
Kto odrodzenia ma ozwać się głosem?

Świeży.

To jest doniosłe, lecz trudne pytanie,
I nad niem trudno nam dumać myślami.
Lecz kiedy chwila działania nastanie,
Powonie przyszłość twórczymi skrzydłami,
Wtedy kto mocen uczucia potęgą
Czynów zbawiennych ozdobi się wstęgą.

Stalmach.

Niech was o przyszłość obawy nie dręczą,
Bo duch przyszłości w stanowczej godzinie
Natchnienia świetlną rozjaśni się tęczą
I świt z pomroku jak księżyc wypłynie
Z za chmur ulotnych srebrzystej opony
I w sercach tęsknych odezwą się tony,
Uczucia żarem umysł opromienia
I czynów wzbudzą tlejące zarzewie,
Porywem wzlotów cichy lud przemienia
I pomkną grzmiąco w zachęty powiewie.

Wabik.

Lecz w kim przyszłości ten duch się objawi,
O kim fantazja uroczu twa marzy?
Cóż to za rycerz, co lud nasz wybawi,
Uczucie w duszy płomienne rozżarzy
I śpiących serca do życia powoła?
Na to trzebaby głosu Archaniola!

Stalmach.

O bracia, duch ten już nie tak daleki,
On rzeczywiste przywdziewa już szaty,
Gdyż ludu senne pękają powieki,
Spragnione światła już krzewią się kwiaty.

Świeży.

Ach, widzę prawdy mieniające się świty,
Czuję te głosy szemrzącej tęsknoty,
Widzę ożywcze nadziei błękity
I westchnień, pragnień roję łańcuch złoty.

Stalmach.

Mój duch zwodniczą marą się nie ludzi,
Ni myśli w podań zbawcze dzieło wierzyć
Ni czekać zniższenia legend bohaterów,
Choć to wywiera cny urok na ludzi.
Nam wspólną pracą w krzywdy moc uderzyć
Potrzeba duchem, buchnąć z serc kraterów
Potężnych czynów druzgocącą lawą
I ludu duszę zagrzać cichą, łzawą.

Świeży.

Tak, bracie, to są święte dla nas cele,
My wspólną pracą w czyn je musim wcielić;
Nam walczyć trzeba ochoczo i śmieie,
My ludu krzywdę, dołę musim dzielić,
By z naszych kości powstałi mściciele!

Wabik.

I ja w mem wnętrzu odczuwam pragnienie:
Iść razem z wami poprzez życia głogi,
Gdyż miłość ludu, mej ojczystej mowy
I niezatarte młodości wspomnienie
Każą mi kochać me rodzinne progi.
Ach, bracia, z wami jam na bój gotowy!

Stalmach.

Niepłonną żywię na przyszłość nadzieję,
Że związek bratnich dusz dokona cudu,
Że my złączeni odeprzem zawieje
I ziarna posiew rozrzucim wśród ludu.
Ach, żeby praca przyniosła nam plon,
My razem winni zerwać się do lotu
I działać chlubnie aż po życia zgon.
I mieć nam trzeba siłę, rozpęd grotu
I miłość świętą do ojczystych stron!

Świeży.

Do pracy więc, do czynu duszo wleć
I kój boleści, moc uczucia krzew!

Wabik.

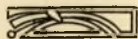
I światła żagiew wśród ciemności wznieć,
Zapału zanuć nam potężny śpiew!

Stalmach.

Do pracy porwie nas rozumny szal
I młode piersi nam zakowa w stal,
Iż przejdziem gromem poprzez zapór wał,
Idący tęsknie w brzasków jasną dal!

K r a k ó w 1908.

(C. d. n.)



O L Z A

(I Śląsk).

W swych, nieogłoszonych dotąd drukiem, Studjach nad nazwami wód słowiańskich napisałem o formie nazwy *Olza* jeszcze przed kilku laty co następuje: „*Olza*, prawy dopływ Odry na Śląsku cieszyńskim. To jest nazwa właściwa, przez ludność miejscową używana, a zarazem historycznie i językowo uprawniona: forma *Olsa* jest tylko niemiecką pisownią, a pseudo-poprawna forma *Olsza* jest błędną (dlatego też w warszawskim Słowniku gieogr. powinna ta nazwa stać pod *Olza*,

a nie pod *Olsza*; por. między innymi Macoszek, Przewodnik po Śląsku cieszyńskim 12 nast. przypisek). Że forma dzisiejsza *Olza* jest zupełnie prawidłowa, tego dowodzi forma przymiotnika *olecki*, występująca także samodzielnie jako nazwa prawego dopływu Olzy *Olecka*, oraz nazwa mieszkańców nadrzecznych *Olzanie* (Macoszek d. c.). Wynika z tego całkiem jasno prasłowiańska forma **Olǫdza*,¹⁾ rozwinięta z jeszcze dawniejszej **Olǫgá* wedle procesu fonetycznego, zwanego prawem Baudouina de Courtenay. Przymiotnik *olecki*, bardzo ciekawy ze swem *c*, nie polega oczywiście jeszcze na **oliga*, bo **oliżisku* dałoby **oleski*, tylko już na spalatalizowaniem **olǫdza*; zaś nazwa mieszkańców nadrzecznych *Olzanie* może równie dobrze polegać na dawniejszem **olǫga* jak i na późniejszym *olza*“.

Potem w czas jakiś dowiedziałem się od p. dr. Nitscha, który świeżo wrócił ze swej wycieczki naukowej, że lud nie tylko wszędzie mówi *Olza*, ale także przeważnie jeszcze odmienia gen. *Olze* itd., co oczywiście dowodzi, że *Olza* nie zawiera prasłowiańskiego *z*, ale prasłowiańskie *dz* z *g* i w zupełności zgadza się z innymi faktami, wykazującymi, że *Olza* nigdy nie była *Olszą* tylko zawsze *Olzą*, względnie w nieco dawniejszej postaci, *Oldzą*.

Każdy człowiek, mający zdrowe zmysły, zrozumie zresztą, że gdyby nawet nie dało się wykazać, że *Olza* jest normalną kontynuacją fonetyczną dawniejszej postaci, — że gdyby nawet przeciwnie było niezbitym faktem, że lat temu nie tylko kilkaset ale, powiedzmy, jeszcze kilkanaście ta rzeka nazywała się *Olszą*, to i tak wszelkie próby „poprawiania“ formy dziś ogólnie i wyłącznie przez lud śląski używanej byłyby nonsensem! Czemuż ci panowie, którym *Olza* spać niedaje, nie urządzają krucjaty np. za przywróceniem „historycznych“ form: *Sędomierza*, *Jana z Kęt*, *Brunowic*, *Schönbergu* itd. itd. bez końca zamiast *Sandomierza*, *Jana Kantego*, *Bronowic*, *Szymbarku*? W naszym wypadku, gdzie forma *Olza* jest także historycznie i etymologicznie jedynie uzasadniona, nonsensem jest tem jaskrawszy! Tak, redaktor „Zarania“ ma słuszość pisząc w poprzednim numerze, że „Sprawa Olzy wydająca się pozornie błahą, jest jednakowoż typową, a z tego powodu właśnie nabiera znaczenia“. Rzeczywiście, ilustruje ona niezłe z jednej strony tak powszechny rodzaj umysłowości ludzi, którzy przeszedłszy długie studia gimnazjalne i uniwersyteckie nie umieją nawet stanąć przed faktem i zamiast starać się go zrozumieć, coś koło niego majstrują pod wpływem jakiegoś ćwieka, który im wbito w głowę, a z drugiej strony także dosyć powszechną pasję opiekowania się tem, co opieki nie potrzebuje.

A zatem powyższego wyводу, zgodnego z tem co pisał p. Nitsch w poprzednim numerze *Zarania*, jest właściwie aż nadto, aby Olzę obronić przed mniej lub więcej „uczonemi“ patryjotami. Ale ponieważ redaktor *Zarania* z powodu „uczonych“ zarzutów chce także „uczonej“ i to pełnej obrony, a odemnie specjalnie

¹⁾ Gwiazdkami oznaczamy formy niezachowane, nieprzekazane wprost, tylko drogą analizy naukowej odtwarzane czyli rekonstruowane.

zażądał wywodu etymologicznego, któryby uzupełnił historyczno-fonetyczny wywód kolegi Nitscha, więc podaję czytelnikom krótkie etymologiczne roztrząśnienie *Olzy*, rad że przypadkiem mogę to zrobić. Nazwa *Olza* należy do bardzo rozpowszechnionego w indoeuropejskiej nomenklaturze wodnej elementu pierwiastkowego *el-*, występującego w licznych apofonicznych i piennych odmianach. Istnienie takiej grupy etymologicznej i to bez uwzględniania nazw geograficznych, wyłącznie na podstawie apelativa, wykazał Lidén w pracy p. t. *Studien zur altindischen und vergleichenden Sprachgeschichte*, Upsala 1897, str. 29 nastt. konstatując dla niej zasadnicze znaczenie względnie wyobrażenie 'wilgoci, wodnistości, śluzowatości, ślizkości' i t. p. Z sufiksem *-go-* albo *-ga-* mamy 1) formę **l-go-* (z t. z. sonantyzmem *l*) w norwes. *ulka, ölke* 'anhaftender Schleim z. B. an Holz im Wasser, Schlamm und Moder nach einer Wasserfluth; Schimmel, Kahm an Dingen, die zu verwesen anfangen'; *ulk utt, ölk-et* 'schmutzig, schleimig'; *ulka* 'eitern' i liczne inne; 2) formę **algā* w łaciń. *alga* 'trawa morska, morski wodorost'; dolnoniem. *alken* 'in unreinen und ekelhaften Sachen rühren', podobnie norwes. *alka*. Tęsamą formę pienną co pod 2) spotykamy w nazwach rzecznych *Alge*, dopływ zatoki kurońskiej (kurisches Haft), właściwie jedno z ramion Niemnu oraz *Alg-upis* w dorzeczu Niewiaży (prawego dopływu Niemna) w gub. kowieńskiej. Różnica między temi pniami **-algo-*, **al-gā*, zawartemi w wymienionych appellativa i nazwach rzecznych a pniem **alīga* naszej *Olzy* leży tylko w zwykłej oboczności sufiksu *-go-* resp. *-gā* -obok *-īgo-* resp. *-īg-ā*. Tę ostatnią formę, zatem tęsamą co w *Olzie*, mamy według wszelkiego prawdopodobieństwa jeszcze w nazwie lewego dopływu Łyku albo Ełku (niem. *Lyck-fluss*) dorzecza Narwi, który to dopływ nazywa się w Królestwie w dolnym biegu Jęgrzną, a w Prusiech wschodnich w górnym biegu *Lega* i *Leegenfliess*. W ruskich kronikach ta rzeka nazwaną jest (XIII wiek) *Olegiem*, a ta forma utrzymała się do dziś dnia w pochodnej nazwie miasta, leżącego nad jednym z jezior, przez które *Lega* przepływa, mianowicie *Olecka*¹⁾: zatem *Lega* wykazuje drugorzędną, niefonetyczną utratę początkowej samogłoski.

Zatem *Olza* jest prastarą indoeuropejską nazwą wodną, która pierwotnie znaczyła poprostu 'wodę, ciecz' tak np. jak *Wilga* (*Wołga*), *Mokrzec* itd. od pierwiastków zawartych w *wilgoć*, *wilgnać*, *mokry* itd. Powyższy wywód etymologiczny potwierdza się okolicznością, że także wszystkie inne formy pienne, zawierające inne sufiksy a występujące w wyrazach, które zebrał i wyjaśnił Lidén, a także formy z samym pierwiastkiem *el-*, *ol-*, nierozszerzonym żadnym sufiksem, powtarzają się także w nazwach rzecznych i to licznie.²⁾

¹⁾ Nazwa *Olecko* została z biegiem czasu po części wyparta przez nazwę nowej osady miejskiej, założonej w XVI. wieku, *Margrabowa*. Urzędownie nazywa się powiat po niemiecku *Oletzko*, a miasto *Margrabowa*.

²⁾ Odnosny ustęp mej pracy, zestawiający i objaśniający te wszystkie nazwy, przeważnie prastare, obejmuje w rękopisie przeszło 30 stron. Nie mogę go więc tutaj streszczać: przytoczyłem też tylko nazwy i wyrazy, zawierające temat *al-* (*i*) *g-*.

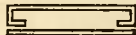
Na zakończenie jeszcze słowo o formie *Olza* w stosunku do oczekiwanej *Oldza*, o czym już pisał p. Nitsch. Nie ulega wątpliwości, że normalna forma polska powinna brzmieć i dziś *Oldza*, por. np. wieś *Ldzań* w powiecie łaskim (gub. piotrkowskiej), *Poldzew* wieś w powiecie tureckim (gub. kaliskiej), a także formy *uldze*, *Wildze*, *Oldze* oraz po innych spółgłoskach np. staropolskie *z(d)dza* z dawniejszego *stdza* 'ścieżka', *ciądzać*, *jędza* itd. Że kiedyś i *Olza* brzmiała jak *Oldza*, tego dowodzi nie tylko zresztą *Olecka* i *olecki*, ale i forma *Oldsa* pod jaką zapisana jest wieś *Olza* leżąca u ujścia Olzy do Odry w r. 1531. Że jednak z drugiej strony, na tych pograniczach panowała tendencja w kierunku wymawiania dawniejszych *-ldz-*, *-rdz-* jak *-lz-*, *-rz-* jak na obszarze językowym czesko-morawskim, to zdaje mi się słusznie przypuszcza p. Nitsch. Prócz *Olzy* i *rzy* (rdzy), którą p. Nitsch przytacza, zwracam uwagę na zwrót *nie lza*, pospolity na Śląsku. Dodam, że ta tendencja jest prawdopodobnie bardzo stara. Bo wszakże sama nazwa *Śląska*, *Ślązaków*, zawiera takie *-z-* zamiast oczekiwanego *-dz-*! Warto się też zatrzymać nieco przy tej nazwie. Jak wiadomo geneza nazwy *Śląska* jest jasna: polega ona na nazwie siedzącego tu niegdyś szczepu germańskiego *Σιλίγγαι*, *Silingi*, którą przejęli polscy (i sąsiedni czescy) Słowianie zajmujący te strony. Oprócz dla kraju całego i mieszkańców usadowiła się ta nazwa dawniej specjalnie jeszcze dla wielkiej izolowanej góry na Śląsku pruskim, zwanej dziś *Zobtenberg* (od obchodzenia na niej sobótki), a dawniej (w dokumentach) *Slenz* oraz dla pobliskiej rzeki Lohe, dawniej (w dokumentach) *Slense*, *Slenza* zwanej (pr. Nehring, Indogermanische Forschungen IV 405). Nie ulega wątpliwości, że zasadnicze formy musiały brzmieć w normalnej polszczyźnie **Ślądz* (jak *ksiądz* itd.) względnie jako femin. **Ślędz* oraz **Ślędza*, a dalej pochodne **Ślądzak*, **ślącki*: tymczasem faktycznie mamy szereg *Ślązak* — *Ślężany* (nazwa kilku wsi, osadzonych przez Ślązaków) — *śląski* i neutrum tego przymiotnika *Śląsko*. Otóż jeszcze formy *Ślężany* i *śląski* (*Śląsko*) dałoby się od biedy wywodzić od pierwotnej formy z *-g-*, chociaż dla przymiotnika to zgoda nieprawdopodobne, ale co forma *Ślązak* to może przedstawiać tylko oczekiwane, normalne polskie **Ślądzak*. Że kiedyś takie formy z *-dz-* w polszczyźnie istniały, tego dowodzi ludowa, zachodniogalicyska nazwa Ślązaków *Ślencki* ze swoim *-c-*. Ta forma dzisiejsza potwierdza uprawnienie i znaczenie kilkakrotnych łacińskich pisowni przez *-c-* w dawnych dokumentach i dawnych kronikarzy polskich, o których to formach Nehring, nie znający dzisiejszego ludowego *Ślencki* pisał w przytoczonym miejscu: „an eine poln. Form *ślędz* könnte wegen *Selencia* bei Gallus, *mons Silentii* 1148, 1209, *Silenciana provincia* bei dem sog. Kadłubek gedacht werden, wenn diese Formen nicht latinisiert wären.“

Wynika z tego wszystkiego, że na Śląsku, zwłaszcza zapewne w pasie pogranicznym od obszaru czesko-morawskiego, istniała od dawna tendencja do przechodzenia dawniejszych, właściwych polskich grup *-rdz-*, *-ldz-* w *-rz-*, *-lz-*. Ta tendencja zwyciężyła powszechnie i ogólnie w nazwie *Ślązaków* i *Śląska*. Odwrotna

tendencja, którąbyśmy mogli nazwać ultra-polską, to jest skłonność przechodzenia nawet pierwotnych połączeń *-r-z (-l-z-)* w *-rdz-* zwyciężyła powszechnie jak wiadomo w wyrazie *bardzo*, dawniejszem *bar-zo*, które zresztą w narzeczach polskich się jeszcze utrzymało (np. w góralskiem *bars*; także *barz* wymawiane *basz*). A są narzecza, które konsekwentnie wymawiają *skardzyć* = skarżyć itd.

Kraków.

Jan Rozwadowski.

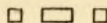


Arjos.

KWIATKI PACHNĄCE.

Kocham was, pachnące kwiatki,
Co mnie wonią odurzacie.
Wychylacie z wonnej szatki
Piękne, niby cud, postacie,
Cudne róże, fiołki, bratki.
Wolę róże niż bławaty,
Bo gdy kwiatom woni braknie,
Co im nada strój bogaty,

Kiedy dusza woni łaknie?
Kocham was, pachnące kwiaty.
Kocham dusze te pachnące,
Co jak fiołki cudne z kształtu
Rozsyłają woń po łące,
Odsłaniając się bez gwałtu,
Gdy zbudzi je ze snu słońce.



MOJA MUZA.

Gdym jak Dawid, pastuch młody,
Pasał ojca mego trzody,
Zapatrzony w pól błękity,
Muza ma, dziewczeczka miła,
Mi z bławatków wianki wiła,
W włos wplatała wianek wity.

Zapłakany, zasmucony,
Gdym opuszczał ojców strony
I gdym szedł pomiędzy wrogów,
Muza ma, dziewczeczka miła,
Razem ze mną się martwiła
I spletała wianki z głógów.

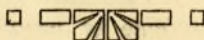
Każdy smutek się zagoi,
Człek się z losem swym oswoi.

Opasałem biodra swoje,
Pierś okulem w stalne zbroje
I zdeptałem wonne kwiaty.
Muza ma, dziewczeczka miła,
Moich stóp się uczepiła,
Ze mną poszła w obce światy.

Tak jak Dawid z Goliatem
Chciałem mierzyć się ze światem,
Lecz uległem olbrzymowi.
Muza ma, dziewczeczka miła,
Wciąż do walki mnie budziła;
Choć uległem, cóż stanowi?

Świadom walki, świadom trudu.
Wrócę znów do mego ludu,

.

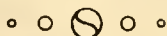


Rudolf Z.

KOŚBA.

Ciach... ciach... kosiarze dzwonią na łące,	Jutro rój pszczołek po miodęk zleci,
W srebrzystych kosach błyszczy się słońce,	Jutro po kwiaty przyjdą tu dzieci,
Choć już południe skwarem swem pali,	A zamiast kwiatów i ziół na łące,
Kosy wciąż dzwonią: dalej i dalej.	Zastaną tylko sianko pachnące.

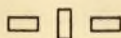
Padają trawy, mak purpurowy,	Smucą się dzieci i pszczołek roje,
Jaskier złocisty, dziewanny płowej	Że ścięto maki, jaskry, powoje,
W wysmukłą kitę zwinięte paki...	Ale to sianko wonne a świeże,
Oj szkoda... szkoda kwiecistej łąki!	Krówki w oborze ucieszy szczerze.



Wilhelm Greger.

ŚLAZACZKOM DO ALBUMU.

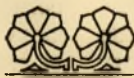
Zbuduj w serduszkach świątynie tylko temu,	Jak silnie wulkany ogniem pałają.
Któryby wszystko dla ciebie porzucił,	Kochaj go ty zawsze tak wiernie, tak czy- sto,
Któryby świątynię kwiatami przystrajał	Jak czystą jest woda w górskim ruczaju,
I tobie zawsze pieśń miłości nucił.	Kochaj go ty zawsze tak skromnie, tak ci- cho,
Tego ty pokochaj aż taką miłością,	Jak ciche są nocy w pogodnym maju...
Jakiej i w niebie anieli nie znają;	
Tego ty pokochaj tak szczerze, gorąco,	



TYŚ NAJPIĘKNIEJSZA.

(Do Polki-patryotki.)

Wszak dziewczę tyle, tyle na ziemi,	Miłością go otoczyć, z ciemnoty
Tyś jednak jedna pomiędzy niemi	Wyrwać go srogiej; — dając mu w darze
Ta najpiękniejsza; — bo ty masz taką	Duchowy pokarm, stawiasz ołtarze
Piękną duszyczkę, a serce twoje	Ojczyźnie, a dodając ochoty
Aniele otwarło swe podwoje	Do ciągłej pracy, stapiasz powoli
Dla ludu biednego, by jednaką	Kajdany, więc skracasz czas niewoli!



ODPOWIEDŹ KASI...

Oj nie, twoją ja nie będę,
Boś ty wielki, dumny pan,
A ja wolę na wsi zostać,
Bo mi święty chłopski stan.
Tyś kapotę skromną, chłopską,
W kusy, pański zmienił frak;
Za to, chociaż cię kochałam,
Teraz ci odpowiem tak:
Swoje serce dam innemu,
Kocham syna naszych ról,
Gardzę tym, kto niemi gardzi,
Bom ja córka śląskich pól.
Dla czarnego twego fraka
Stosowniejszy długi tren,
Co ulice miejskie zmiata.
Dla przesadnie wielkich cen,
Któręś wydał na pierścienie,
Mój zwinięty w pierścien włos

Jest za skromny. Na błyskotki
Gruby ci potrzebny trzos;
Z ojcem — chłopem — z rąk mych pracy
Skromne muszę życie wieść,
Gdy tymczasem dla salonu
Tylko wychuchany teść.
Na chałupce skromnej komin,
Na twojej głowie wielki klak,
W mieście mówisz po niemiecku,
A ja z tobą będę jak?
Czyż ty, szydząc z mego stanu,
Mógłbyś kiedy kochać mnie,
Czy mogłabym być szczęśliwą,
Gdy na serca mego dnie
Wzgardę chowam przeciw temu,
Co ty wzniosłem, świętem zwiesz?
To pokochaj, co ja kocham,
A stanie się tak, jak chcesz!



NAJPOCZYTNIEJSZE KSIĄŻKI POLSKIE.

Wład. Łoziński: „Życie polskie w dawnych wiekach”. (Wyd. II., Lwów 1908. 6 K.)

Szczupłe są nasze wiadomości o prywatnem życiu dawnej szlachty polskiej. Każdy z nas zna lepiej lub gorzej polityczną lub wojenną przeszłość narodu, potrafi wyliczyć najgłośniejszych bohaterów i czyny ich, ale jak ten bohater żył w domu, u siebie, poza sejmami i wojną, jak się ubierał, jak bawił, jak podróżował, jak wreszcie wyglądała jego siedziba, zamek czy dworek drewniany — to odpowiedzi nasze na te pytania byłyby z pewnością ogólnikowe, niejasne i szczupłe, bo cała odnośna nasza wiedza pochodzi z lektury

powieści historycznych, w których szczegóły z życia prywatnego szlachty, jakkolwiek uwzględniane, błędną wobec opisów przygód wojennych lub myśliwskich i najczęściej uchodzą naszej uwagi.

Życie prywatne w przeszłości, to przedmiot badania dla historyka kultury. I u nas na tem polu cały zastęp uczonych pracuje, mimoto wyczerpującego podręcznika historii kultury dotąd jeszcze nie mamy. Mamy jednak książkę doskonałą, która na razie podręcznik taki zastąpić może, chociaż jest tylko szkicem historii kultury polskiej. Autor tego dzieła, Wł. Łoziński, niezwykle znawca naszej przeszłości, lata całe poświęcił badaniu odnośnych źró-

deł i rezultaty swych poszukiwań ogłosił w książce p. t.: „Życie polskie w dawnych wiekach“. Jest to zbiór wiadomości o dawnej Polsce, o życiu prywatnem szlachty, jej zwyczajach i obyczajach, o mieszkaniach, strojach i o broni szlachcica. Jestto znakomity komentarz do powieści historycznych i wogóle do wszystkich tych książek, których treść z dziejów polskich czerpana. Tu znajdzie czytelnik barwne i wyczerpujące wyjaśnienie tych wszystkich rzeczy, o których poeta lub powieściopisarz w książkach swych tylko mimochodem mógł wspomnieć, a całość stanowi jednolity obraz życia szlachty polskiej.

O treści książki słów kilka.

O Radziwiłłach, Tęczyńskich, Firlejach, Potockich, Wiśniowieckich i tylu innych wiedziało się, że siedzieli w zamkach i pałacach, każdy z nas pamięta, że czytał jakieś wzmianki o „wysokich komnatach i podwojach“, — jak jednak te magnackie komnaty wyglądały, jak wyglądała wogóle pańska rezydencya w Polsce, o tem bardzo niejasne mieliśmy pojęcie. W książce Łozińskiego po raz pierwszy może rzecz tę tak pięknie, wyczerpująco a zarazem popularnie omówiono, każdy wiersz prztem podaje nam jakiś szczegół nowy, jakąś wiadomość, która, znana zapewne historykom kultury, dotąd nie była jeszcze w skarbcu wiedzy ogółu czytelników. Czytamy n. p. ze zdumieniem i niedowierzaniem o rozmiarach i wspaniałości niektórych rezydencji pańskich, jak o zamku janowieckim Firlejów, gdzie miało być 105 obszernych komnat, albo o zamkach, których dziedzińce wewnętrzne, budynkami zamknięte, miały po kilka morgów obszaru. Robotnika w Polsce nie brakło, zwłaszcza po wojnach zwycięskich z Turkami lub Tatarami, nie żałowano też pieniędzy, byle tylko zamek był możliwie jak najbardziej warowny, wielki i wspaniały. Wielki nacisk kładziono na przykład na swe miasteczko w marmurze rzeźbione krużganki, które biegły dokoła wewnętrznego dziedzińca zamku. W czasie turniejów bogate perskie dywany zwieszały się z balustra-

dy, stanowiąc oparcie dla rąk dam, które się rycerskim zapasom przyglądały.

Przepychowi zewnętrznemu odpowiadał oczywiście przepych wewnętrzny. Wszędzie świecił się marmur i alabaster, aksamit i adamaszek; krzesła i ławy, biegnące dokoła marmurowego stołu, miały w niejednym zamku srebrne a nawet złote poręcze. Pan, który w takim zamku siedział, lubił się popisywać bogactwem i okazałością zawsze i wszędzie. To też kiedy siadł na koni i jechał na popis rycerski, to rząd jego i szabla siały drogimi kamieniami tysiące iskier na wszystkie strony. Panom w podróży towarzyszyły zwykle liczne orszaki służby i cały tabor wozów z żywnością i sprzętami. Znany nam z „Potopu“ Bogusław Radziwiłł nawet wtedy, kiedy „incognito“ podróżuje, musi mieć z sobą 1000 koni i ludzi.

Magnatów naśladowała w zbytkach i okazałości szlachta, panowie jednej lub kilku wiosek: każdy szlachcic „possessionatus“ miał przynajmniej kilku „kozacków“ na swoim dworze, a głównie jego szabli równie rubinami lśniła, jak szabli radziwiłłowskiej. Liczne zwycięskie wojny z Turkami umożliwiały tę okazałość zewnętrzną, bo po zdobyciu obozu nieprzyjacielskiego nietylko do magnackich zamków, ale nawet do najuboższych, słomą krytych dworców szlacheckich dostawały się bogate rzędy i zbroje, perskie kołnierze i szable tureckie. Zdobywcze bogactwa rozchodziły się oczywiście łatwo, pożerała je wystawność życia, podróże i długie biesiady szlacheckie. Zewnętrzna wystawność nie odpowiadała też prawdziwemu bogactwu kraju: strojnemu w złoto szlachcicowi nieraz zbywało na najpotrzebniejszych w życiu i gospodarstwie przedmiotach i wogóle kraj był raczej ubogi. Wspieraliśmy zawsze obcych; zagraniczni przemysłowcy i kupcy wywozili z kraju olbrzymie sumy, zostawiając nam w zamian tandetę i świedelkę; o podźwignięciu przemysłu krajowego nie myślał nikt. Słusznie też Łoziński „błyszczącą nędzą“ wszystkie te wspaniałości nazywa. Wy-

stawna rezydencya pańska, wzniesiona raz nadmiernym wysiłkiem, pożerała stale wielkie sumy, najczęściej też niosła za sobą ruinę i sama ulegała ruinie. Na ich miejscu dziś przeważnie zwaliska: z dwóch, czy trzech jako tako zachowanych zamków oraz z pisanych inwentarzy dochowanych wraz ze starymi testamentami można sobie dziś z trudem tylko wspaniałość ową w wyobraźni odtworzyć.

Wiele miejsca poświęca autor z kolei dworom i dworkom szlacheckim, ubiorom i „splendorom“. Podaje szczegóły, z których niektóre znało się czy to z pamiętników Paska lub Albr. Radziwiłła, czy też z powieści historycznych lub starych rycin, w każdym razie jednak dopiero po przeczytaniu książki Łozińskiego możnaby powiedzieć, że się te dworki, stroje i „splendory“ jako tako poznało.

Ostatni obszerny rozdział książki nosi tytuł: „Dom i świat“. Jestto znowu opowiadanie o polskiej rodzinie szlacheckiej, o wzajemnym stosunku rodziców do dzieci i dzieci do rodziców i o tem wszystkim, co nazywamy stosunkami towarzyskimi. Ze szczegółami, jakie się w tym rozdziale mieszczą, jesteśmy już nieco oswojeni. Powieściopisarze nasi nieraz już te stosunki przedstawiali, choć żadna powieść oczywiście pełnego ich obrazu dać nie mogła. Wiele uwagi poświęca autor kobiecie-Polce, określa jej stanowisko w rodzinie i społeczeństwie, szkicuje różne typy polskich szlachcianek.

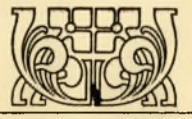
Akademią kobiet zarówno jak mężczyzn były dwory magnackie i dwór królewski. Tam nabywano towarzyskiego poloru i różnych wiadomości, jakich pod strzechą rodzinną nabyć nie było można. Tylko że kobiety nie miały tak łatwego dostępu do owych „akademii“, jak mężczyźni i tylko wybrane mogły znaleźć

miejsce we „fraucymerze“ magnatki lub królowej.

Młody szlachcic, dostawszy się na pański dwór, służył zrazu jako pacholik-paź, potem jako „dworzanin“ towarzyszył panu na polowaniu i podróżach po kraju, podczas uczt wielkopańskich stał za stołkiem swojego chlebobawcy, traktowany był jednak przez pana jako przyjaciel, niż sługa. Przeglądał się zabawom pańskim, przysłuchiwał się konwersacyi, przyswajał sobie pańskie maniery, zbierał wiadomości o świecie i różnych jego dziwach i cudach, a przede wszystkim zapoznawał się ze współczesnymi stosunkami panującymi w kraju. Dwór pański był dla szlachcica istotnie „akademią“, tam zyskiwał szlachcic wychowanie a nieraz i trwałe podstawy materialnego bytu, bo polski pan był hojny i nieraz obdarowywał wierne sługi dożywociami. Miało jednak wychowanie dworskie także swoje złe strony. Oto szlachcic, bawiący na pańskim dworze, nie nauczył się tam pracować, wraz z panem pędził życie próżniacze, przywykał do okazałości i zbytków i te nałogi wnosił potem do własnego domu; na dworze pańskim wdrażał się w życie awanturnicze, a widząc, że pan nie szanuje prawa, i on sam poszanowania dla prawa nie miał.

Dzieło Łozińskiego — to książka zajmująca niezmiernie, ogromnie przytem droga przez tę miłość i szacunek synowski, z jakim autor odnosi się do przeszłości, a zarazem sprawiedliwa i mądra, bo autor stale i konsekwentnie gani w życiu szlacheckiem to, przeciwko czemu oburza się jego polskie sumienie, nie apoteozuje i nie uwielbia tego, co na uwielbienie nie zasługiwało. Książka jego, niestety, więcej nam grzechów niż cnót szlacheckich odsłania.

St. Fischer.



1. MY MŁODZI.

Przez długie wieki spał lud, spał kraj cały,
Nieświadom bytu swego ani celu.
Dzisiaj skry ducha ciemności rozwiały,
Świadomość praw swych dziś oświeca wielu,
I coraz szerzej w kraju się rozchodzi.

Wstrząsamy grobu okową,
Budzimy się narodowo,
My młodzi!

Przez wieki był lud w ciągłej poniewierce
I uważany za mniej wartościowy;
Dziś znowu żyje w niezgodzie, rozterce;
Dzieli się całość na słabe połowy.
Wróg tem skuteczniej do zwaśnionych godzi.

Spojeni pracy żelazem
Idziemy zawsze razem
My młodzi!

Razem idziemy do góry wśród trudu,
Razem do pracy i razem do boju,
Oświatę szerząc wśród naszego ludu; —
A tylko starzy na uboczu stoją;
Wspólność działania piękny owoc zrodzi.

Dążeniem jednym złączeni
Będziem niezwyciężeni —
My młodzi!



2. SKARGA POZNAŃCZYKA.

Smutna będzie nasza dola!
Już zawitał wiosny czas,
Już obsiane obce pola.
W śpichrze dosyć siewu, ziarna —
Ale gdzież ta ziemia czarna,
Co żywiła nas?

Smutna będzie nasza dola!
Już się zaczął wiosny siew, —
Już zielone obce pola.
Ot się nasi siewcy garną; —
Lecz na którą ziemię czarną
Mają rzucić siew?

Smutna będzie nasza dola!
Nie ustawim plonu w bróg;
Gdyż nie mamy swego pola. —
Siewców mamy, ziarno mamy,
Ale ziemi swej nie mamy,
Bo ją zabrał wróg.

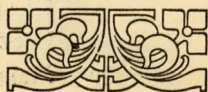
○ ○ ○ ○

Jaś Ludkowicz.

PIERWSZA MIŁOŚĆ.

(Fragment.)

Kochanek nie zaraz poszedł do domu;
Długo się błakał w polu pokryjому
I z daleka zaglądał w okienko jasne,
Gdzie jego dziewczę snąć nie wnet usnęło.
Czemuż mieszkanie było dla niej ciasne?
Bo gdy światło zgasło, w oknie kwitnęło
Długo między kwiatami jej oblicze.
Łatwo je było za kwiatek policzyć,
Których doniczki rozwijały wiele, —
Tak było rumiane. Chłopiec powoli
Przysunął się bliżej. Lecz wtem się dzie-
wcę
Cicho rozśmiało między kwiatów wieńcem.
Młodzian się przeląkł — mógł być posą-
dzony —
Rozśmiał się również, potem szybko zni-
knął.
...Ale twarzyczka ciągle mu widniała
Przed oczyma, ponętna, nieśmiała —
Nawet gdy sen powieki mu przymknął...



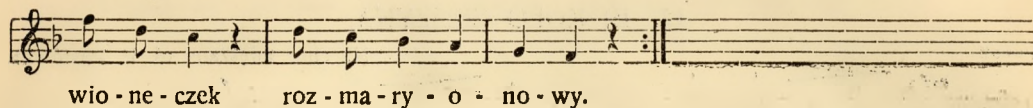
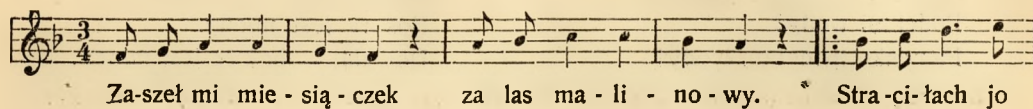
PIEŚNI LUDOWE.

11. PIEŚNI WESELNE.

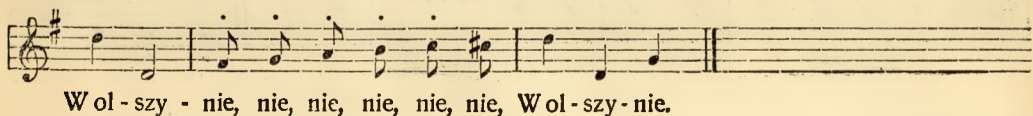
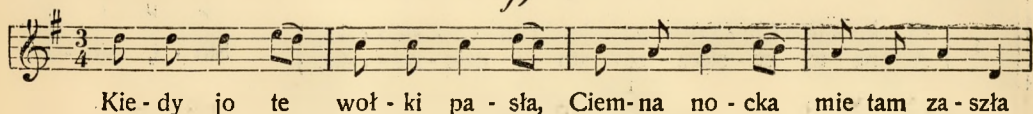
(Pieśń e, f, g, h, śpiewają przy białym tańcu.)

(Ciąg dalszy).

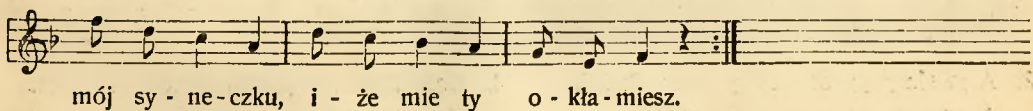
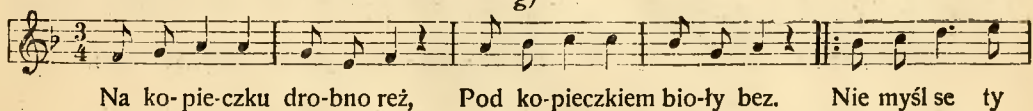
e)



f)



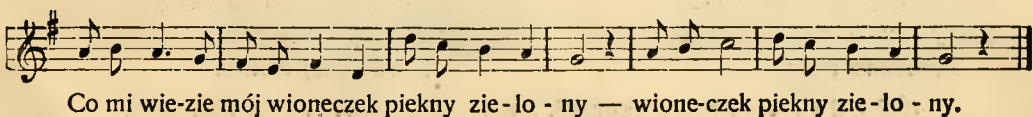
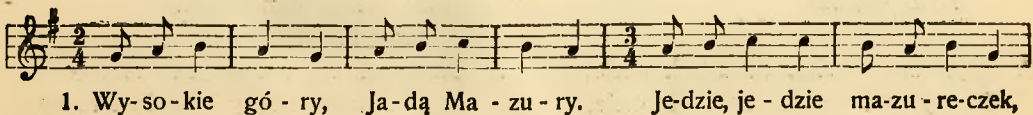
g)



2. Na to jo sie uczyła
I do szkoły chodziła.

Na to jo mom czorne oczka,
Żebych chłopców szydziła.

h)



2. Przyjechał w nocy,
Kole północy,
Kłupkoł na moi okienko,
Stój a odewrz mi panienko!
Podej mi wody!
Panienko, podej mi wody!

3. Jo ni mogę stać,
Wody ci podać,
Bo mi mama zakozala,
Abych wody nie dowala,
Boś ty jest młody.
Dowala, — boś ty jest młody.

(Z okolicy Cieszyzna [z Krasnej], śpiewała Ewa Błkowska; spisał tekst i melodyę F. Francus).

12. EJ KOŁO CIESZYNA.

Powoli

Na chór mieszany ul. P. Pustówka.

1. { Ej, ko - ło Cie - szy - na jest tam ce - ste - czka, } Sto - i, sto - i
A na tej ce - stecz - ce sto - i dzie - we - czka. }

u - stro - jo - na, Jak - by by - ła ma - lo - wa - na Ja - ko dwo - re - czka.

2. A jo sie ji pytoł, czyby mnie chciała,
A ona mi na to rączki podała.
Ojcowie się dowiedzieli,
Zaroz po mnie przyjechali,
Było wiesieli.

3. A po tem wiesielu dostolech wiele,
Cztery wołki siwe, świdrate ciele,
Wszystkoby to dobre było,
Nicby nom to nie szkodziło,
Żoneczko moja.

4. Dostolech też potem kabot na święta,
Co nieboszczyk starzyk pasł w nim
cieleța,

Gdyby byli starzyk żyli,
Toby byli w nim chodzili,
Joby nimioł nic.

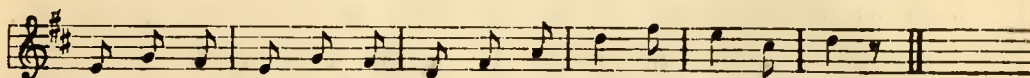
5. Dostolech też potem pasu złotego,
A z owsianej słomy kwacle u niego.
Żonko, żonko, co za czasy,
Że nastały takie pasy
Z owsianej słomy.

(Śpiewał Paweł Mojeścik, chałupnik z Brennej; spisywał P. Pustówka. 1902.)

13. LIPECZKA (Chmureczka).



1. Na - sza li - pe - czka go - rza - ła, go - rza - ła, Pa - nien - ka pod nią



sie - dzia - ła, sie - dzia - ła, pa - nien - ka pod nią sie - dzia - ła.

2. Iskierki na nią padały,
Pachołcy o nią płakali.

(Śpiewają w Clerlicku; zanotował A. Hławiczka.)

b) Na tę samą melodyę śpiewają w Zabrzegu następujący tekst:

1. Modra chmureczka [:na niebie:],
[:Puść mie dziewucho [:do siebie:]].
 2. Jakże ja ciebie puścić mam,
Gdym ja sierota, a tyś pan.
3. Ty masz czapeczkę z piórami,
A ja fartuszek z dziurami.
 4. Ja moje pióro odprzedam,
Tobie fartuszek wyszyć dam.
5. I wyszyli go myśliwcy,
Zdziebełeczkami pszenicy.
 6. Tu masz fartuszek gotowy,
A drugi sprawię ci nowy.
7. Cały jedwabny fartuszek,
Za ten zielony wianuszek.
 8. Choć byś mnie ty dał strój cały,
Nie puszczę cię, boś nie stały.
9. Bo ty przychodzisz na chwilę,
Niby na kwiatek motyle.
 10. A ja nie lubię motyli,
Boby mnie hańbą okryli.
11. I wolę zostać ubogą,
Niż cnotę stracić mi drogą.

(Zanotował ś. p. Józef Londzin, nauczyciel w Zabrzegu.)

14. MA MIŁA DZIEWECZKO.

Dosyć żwawo.

Na chór mieszany uł. P. Postówka

1. Ma mi - ła dzie-we-czko, nie chcę cię, Słu - ży - łaś u lu - dzi, - ga - nią cię,

p Powoli. *mf*
Ra - no nie sto-wasz, krowom nie do-wasz, Ej! kondzio-łe - czki nie przą-dosz!

2. Ej, ty mój syneczku, nie wierz ty;
Przyjdź ty jutro rano, ujrzysz ty,
[:Jo rano wstanę, krowy odbędę,
Ej, kondziołeczkę oprzędę:].
3. A io przyszeł rano, raniusko,
Ona jeszcze leży samuśko,
[:Krowy ryczały, świnię kwiczały.
Ej, kondziołeczka caluśko:].

(Zapisał P. Postówka. Śpiewał Andrzej Lipowczan w Goleśzowie (1905).)



J. Obuszek.

STRÓJ GÓRALSKI.

Były u nas czasy, gdzie była wielka różnorodność gustu, potrzeb, nawet języka i myśli.

Dziś jesteśmy na schyłku tych czasów — cywilizacja wszelkie odmiany ludu redukuje do jednego typu „przeciętnego Ślązaka“, ubierającego się w kołnierz, surdut czarny, kamizelkę, spodnie i buty.

Dziwna rzecz, że takie nędzne ubranie wypiera nasze stare, charakterystyczne sposoby ubierania się — wciska się nawet między starodawne „strełaki“, „nogawice“, i „gunie“, robiąc z najpyszniejszych typów góralskich z chłopów na schwał, karykatury bez wyrazu i siły.

Swojego czasu, kiedy się jeszcze „porębne“ płaciło, aniś widział ogolonej pałki, — włosiska, kędziory długie, aż na plecy spadające, wzrok orli, chłop chudy i wysoki, opalony i czerstwy — to był góral. Nosił „strelak“ — kapelusz z szeroką strzechą, która w potrzebie parasol zastąpiła. Strelak, im był starszy, tem lepszy, bo nawsiakało weń tłuszczu, smoły i dymu, — strelak się „zaskorupił“ — był w końcu jak z kamienia, i przechodził z pokolenia w pokolenie, aż się „rozbił“.

Dziś strelak leży między „żdziorbami“ na strychu, wyniesie go czasem pasterz i włoży na głowę zamiast chochoła; — „gazda“ zaś wdziawa na podstrzyżone włosy zwykły kapelusz czarny, niezgrabnie wysoki z podszewką i wstążką. Syn paraduje w okrągłutkim kapelusiku białym, który na wesele stroi się w czerwone wstęgi, „woniączkę“ i „chochołki“.

Z pod takiego kapelusza trzeba usunąć kędziory, — i dlatego też nasi młodzi góralscy „pachołcy“ strzygą się wzajemnie co pewien czas, gdzieś na mie-dzy lub w przygonie.

Koszula — jaką była, taką jest. Zrobiona z własnego lnu, z grubego płótna, „własnych krosien“ — uszyta w domu. Odznacza się niezwykłą długością — sięga bowiem nisko pod kolana — i zastępuje kalesony. Pod szyją spina się nitką lub czerwoną wstążką; — zanadrze (zoniedrzy) tak długie jak pierś, kończy się czerwonym, wyszytym z „harasu“ znakiem. Tam to przez zanadrze góral wsuwa za koszulę wszystko, a później wytrząsa szerokim na kształt worka rękawem, nie zwężonym przy pięści.

Na koszulę kładzie się „bruclik“ rodzaj kamizelki, który niestety coraz bardziej przybiera kształt „dólskiej kamizelki“ czyli „westy“. Znika już dzisiaj „kamelhor“ — czerwone kutasy obok każdego guzika — błyszczące guziki czernią i nierzadko spotkać można bruclik z czarnymi guzikami, niezapięty jeszcze co prawda, — ale i tego niezadługo się doczeka. Na wesele bruclik bywa czerwony, „na każdo“ czarny lub niebieskawy.

Charakterystyczną częścią stroju górala jest „gunia“, zrobiona z czarnego sukna, posiadająca na obwodzie „włóczki“, t. j. barwne sznurki. Ile takich włóczek krawiec przyszyje, tyle mu się szóstek za uszycie guni płaci. Góral zarzuciwszy gunię na plecy i rozpuściwszy na wiatr rękawy szerokie, jak skrzydła, wygląda zdaleka jak ptak, chodzący po ziemi.

W zimie pod gunię wdziawa się kozuch. Bywają kozuchy rozmaite; gęstsze i lepsze można kupić na jarmarku „na Czacy“, kozuch na „pobieżkę“ słabszy — „tu leda kany“.

Kozuch zrobiony jest z koziej skóry, włosami na wewnątrz, bardzo pięknie bywa ozdobiony barwnymi „rzemykami“ na brzegach — i na końcach u rękawów. Guziki zastępują tu guzy i pętlce.

Dziś w kozuchu „kapkym gańba“ bierze się „racy kabot“.

W obcisłych „nogawicach” z sukna białego z „kuczką” czerwoną w tyle, poniżej zgięcia kolana też już „gańba” — lepiej wziąć „gacie czorne cajgowe lebo białe z płótna” — (lepiej czorne cajgowe). A trzeba przecież widzieć chłopą w nogawicach! Fantazyja i powaga — aż miło — a w tych czornych cajgowych — „ani gorol, ani dółan — niewydara do niczego” — tak mówią starzy.

Swojego czasu, kiedy się jeszcze stada owiec i krów pędziło na sałasze, był zwyczaj, że w dzień uroczysty wyruszenia na sałasz „gazda” wciągał nogawice w połowie czarne, w połowie białe. Lewa noga zawsze była czarna, prawa biała. Oznaczać to miało bogactwo gazdy, który pędzi na sałasz „rozmaite owce” — czarne i białe. Dziś nogawice tylko są białe.

A nie ma już, jak w nogawicach i butach z cholewami — „polokach”. — Dawniej częściej obuwano „kopyca”, „notkaci” i „kypce” — dziś „buty kupić i fertyk”.

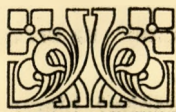
Kopyca dziś służy tylko „na każdo” — czasem i do kościoła — ale tylko tym starym. Szyło się je w domu z sukna, w domu sporządzało się „notkaci” t. j. sznur, raczej powróż z wełny na owinięcie koło dolnego uda i na przywiązanie kypca. — Kypce szyją do dziś w domu. Są to łapcie ze skóry, zrobione czasem pięknie i misternie — ale dziś służą ku robocie w polu, czy na ściernisku, czy na podorówe, — do kościoła trzeba w butach.

Strój kobiecy zmianom nie ulega — do dziś Hanka lub Marynka ubiera się tak, jak jej matka, babka, prababka i t. d. Owinie koło głowy „szatkę”, t. j. chustkę, zarzuci kabotek, z wiszącymi skrzydłami z przodu, zapnie czarny fartuch, pozbierany w drobniutkie fałdy z tyłu i kwiatkowany fartuszek z przodu, obuje się w czerwone nogawiczki, czyli pończochy, które według zasady muszą być tak długie, jak wysoko Hanka, Halszka lub Marynka wyrosła. Nogę góralki w takiej „nogawicze” „dólanie” nazywają „maśnicą” bo jest ogromnie gruba z powodu fałdów, które dziewczyna troskliwie układa.

Dziewczyny chodzą jeszcze w juchtowych kypieczkach. Na zimę trzeba mieć hackę lub białą „obrus” z cwilichu. Jest to płachta wielka, biała zupełnie, utkana w kwiaty.

Tak wygląda szata ludowa, której ostatnie szczątki dogryza „cywilizacya”, a którą w przyszłości zastąpi monotonna, jednostajna i sucha szata „przywleczone z doły”.

Podoba się góralom kołnierzyk, — nie widzą niebezpieczeństwa, że ten biały kawałek stwardniałego płótna będzie „stryczkiem” — który ściśnie ich grube szyje i wydusi dawnego ducha, dawną sielskość, śpiewność i wesołość, a zarazi lud polityką.



MATERIAŁY.

POKLEKEJ.

Jeden chłop miał pore synów, między nimi jednego przigupigo. Tyn siedział rontym za piecym, abo grzeboł w popielniku. Do żodnej roboty nie był sucy.¹⁾ Inni paśli owce, abo chodzili do inszi roboty. Roz paśli daleko od domu i nimógli iść na obiad. Posłali więc z domu tego przigupigo z obiadem. Była piękno pogoda, a słońce grzoło morowo. Przigupi niós w koszu pecynek chleba i gałuszki z wodom. Idzie, tak idzie, aż naroz ogłądo się i widzi za sobóm coś czarnego. Strach piżnół na niego i zaczął uciekać, ale to czórne fórt równo snim leciało. Pomyślał se, że isto ten czorny musi mieć kurasz na te gałuszki zaczął mu jednom po drugi na ziem chyać, aż żodnej nimioł już w gorku. Jak prziszedł do lasu, czorne sie kansi straciło, ale przyszła drugo biyda. Prziszedł na most i uwiidził w nim dziure. Ból się, że do ni wpadnie. Aby się to nie stało, zatkoł dziure pecynkiem i przeszedł, a pecynek zóstał w dziurze. Jak prziszedł do bratów, opowiadół im, co mu sie przidarziło. Bracio go nie bili, bo wiedzieli, że je głupi. Prawiom mu: zustoń tu przy owcach, a my pujdymy do domu na obiad, ale pamiętej dzierzyć owce po gromadzie. Poszli, a on zaczął paść. Z początku jakosi to szło, ale owce zaczęły sie troche rozłazić. Przigupi pamiętoł, że mo owce dzierzyć po gromadzie i zganiół do gromady, ale owce nie chciały go posłóchać. Rozgniywany myślał nad tym, jakby to dzierzyć po grómadzie. Prziszedło mu naroz do głowy, że dobrze bydzie te, co sie rozłazom, pozarzynać, to bedom potem po gromadzie. Tak też zrobił. Jak bracio prziszedł, już miał większom połowice porznótom. Roz zaś szel z obiadem i przypómniół se jeszcze doma, że mo dwirze dobrze zamknóc, aby jich żoden nie odewrzył. Zaś głyboko myślał, jakby to zrobić. Wysadził dwirze z bantów,

zamknół i nios ich na plecach do owiec. Myślał se, że jak bedzie miał dwirze ze sebow, to ich żoden nie odymknie. Bracio sie zahruzili, jak uwiidzieli głupigo z dwirzami. Przezywali go, że prziszedł tak nieskoro z obiadem i że bedzie musioł som dwirze nийść na plecach dudóm. Zawrzyli owce i szli. W lesie z daleka uwiidzieli zbujów. Wylyżli tedy na stromy, a głupi też musioł na jedyn lyść. Przikozałi mu, aby sie nie ruszoł i nic nie mówił, ani też nic na dół nie puścił. Okrom dwirzi miał jeszcze bańke z mlykym. Zbóje prziszedli akurat pod te stromy i zaczęli mięso pod nimi piyc. Tak to trwało dlugo. Głupi nimóg już dzierzyć i dowoł znaki, że puścił, ale bracio groziłi mu piyńsciami. Nad rany jednak był już słaby i puścił bańke z mlykym. Bańka sie zadzierżała na konarach a mlyko sie loło na zbójców. Jeden z nich prawi: bedzie hnet rano, bo już rosa sypie. Głupi zaś dowoł znaki, że już nimóże wydzierzyć, ale nim mu mógli pogrozić, już dwirzi se straszny harwasym leciały na dół. Zbóje zaczęli krzyczyć: djoboł, djoboł. Uciekli, ale jednemu było żol tego pieczonego miynsa. Porwoł konsek, a w tym bańka spadła mu na głowe, tak że se przygryz jynzyk. Puścił pieczonke i leciół za kamratami i wołał: poklekej, poklekej. Chcioł powiedzieć poczekej, ale oni rozumieli uciekej i jeszcze bardzi dowołał kypcom befel²⁾. Za chwile już nie było żodnego. Bracio zlyżli ze stromów, zebrali piniondze z miechami, co zastawili zbujcy. Głupi już teraz jyny za piecym siadowoł.

(Spisał Jan Szurowacki według opowiadania Karola Heczki, patrz l. zesz. „Zarania“, str. 47. Opowiadanie to słyszał prawie dosłownie w Cierlicku i Kocobędzu w l. 1878—82 wydawca „Zarania“.)

¹⁾ uciekali.

²⁾ zdolny.

PODANIE O ONDRASZKU.

(Z „Tygodnika Cieszyńskiego“ nr. 38. z 7. grudnia 1850, odpisane bez zmiany.)

W naszym Śląsku krąży znaczna liczba różnych powieści między ludem, utrzymując się jedynie przez ustne podania, i niejedno z takowych podań zasługiwałoby wprawdzie przechowania. Niepoślednie miejsce u nas zajmuje podanie o Ondraszku (Jędrzeju), sławnym rozbójniku, przebywającym na początku 18. wieku z całą swą bandą w górach pomiędzy Jabłonkowem a Frydkiem, posuwającym się niekiedy za rabunkiem aż do Morawy, za granicę węgierską i pod sam Cieszyn. Tento Ondraszek gra wielką rolę w podaniach ludu naszego. Ojciec lub matka utulają grożeniem przybycia Ondraszka dziecię płaczące, a pastuch strzegący trzodę po błoniach opowiada jaki piękny ucinek z życia Ondraszka, a posłuchacze opowiadania pierwej nie przerwą, aże bydło daleko w szkodzie. Nasz chłopiec tyle wie o Ondraszku, że był wielkim rozbójnikiem i że wiele niesłychanych rzeczy narobił, ale nikogo nie zabił, kto mu odporu nie stawiał. Opowiem tedy kilka szczegółów z życia jego.

Ondraszek urodził się z ojca Jędrzeja Szebesty, który był wojtem, i żony jego Doroty dnia 13. listopada 1680 r. we wsi Janowicach. Lud sobie opowiada bajkę, że przy narodzeniu jego kula ognista nad domem rodzinnym spadła. Chłopcem małym będąc, pasał owce po górach, a później, jak mówią, chodził do szkoły w Przyborze, miasteczku na Morawie. Powróciwszy z Przyborza do domu i przebywając czas niejaki u ojca, pobił się raz w karczmie z chłopami, ranił ciężko jednego, poczem umknął i błąkał się, trudniąc się pewnie złodziejstwem. Było to r. 1711, za czasu hrabiego Franciszka Prażmy, dziedzica dóbr wielu w okolicy Frydku, gdy dość silny oddział rozbójników z Węgier przybyłych, w Cieszyńskim i Przerowskim się osiedlił i Ondraszka, który się wnet u nich znalazł, za dowódcę obrał. Jednego razu wyprawił się hrabia tenże na polowanie do gór i przebywał prawie w zamku swym

Raszkowieckim, gdy Ondraszek do niego przyszedł, prosząc go, aby mu pozwolił raczyć, u stołu go obsługiwać i przy tej okazji darował hrabiemu w dowód poważania, naczynko srebrne, napełnione bryndzą owczą. Ubrany w drogi ubiór węgierski, wyszedł po obiedzie z hrabią, zwołał swój oddział zbroiny, liczący przeszło 100 ludzi regularnie uzbrojonych, a odbywszy przegląd takiej swej milicyi, odprowadził hrabiego z całym swym oddziałem aż niedaleko Frydku. Przez cztery lata przeszło trudnił się takową zabawą, a że się go lud okoliczny bardzo bał, sądząc, że się go żadna kula nie chwyci i że tylko własnym obuszkim, który sobie sam, jeszcze pastierzem będąc, uciosał, zabitym być może, stało się, że tylu śledztwom ze strony urzędów szczęśliwie uisć podolał.

Gdy wszystkie usiłowania nadaremne były, wezwano i wojsko do współdziałania. Gromady umówiły się, że za przybyciem rozbójników we dzwony uderzą na znak ruszenia pospolitego, a pułk dragonów w Raciborzu i Opolu leżący wysłano dla wyszukania i rozeznania tychże. Za głowę Ondraszka obiecano 100 ryńskich w nagrodę. Ale i to żadnych skutków wielkich nie pociągnęło za sobą.

Dopiero 1. kwietnia 1715 roku zabił go jego współtowarzysz Juraszek, w domu Antoniego Horaka w Świdnowie własnym jego obuszkim, poczem przywiezionego do Frydku ćwiartowano i ciało jego nad karczmą pod zamkiem koło lasku do miasta przyległego po drzewach porozwieszano. W Cieszylinie na ratuszu znajduje się portret Ondraszka oddawna zachowany z następującym podpisem: „Ondraszek, dowódca główny wielkiej bandy, syn wójta z państwa Frydeckiego, ze wsi Janowic w 34. roku swego życia, od swego współtowarzysza zabity a we Frydku ćwiartowany r. 1715.“ Idąc do lasku miejskiego przy Frydku leżącego, znajdziesz małą studzienkę drzewem już na pół zgniłem wysadzoną, „Zbujnicką“ nazwaną, o której lud opowiada, że to także dzieło Ondraszka.